

Stefan Żeromski

ZŁE SPOJRZENIE



Stefan Żeromski

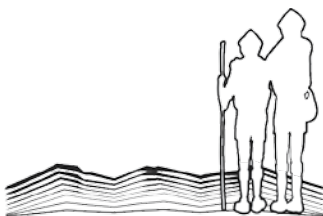
Złe spojrzenie

Stefan Żeromski

Złe spojrzenie

Zakopane, 2025

Copyright © by Lesław Dall, 2025
Copyright © for this edition by Stowarzyszenie Muzeum Harcerskie
im. Olgi i Andrzeja Małkowskich w Zakopanem, 2025



Wydawca: Stowarzyszenie – Muzeum Harcerskie
im. Olgi i Andrzeja Małkowskich w Zakopanem
Organizacja pożytku publicznego. KRS: 0000153113
Nr konta: 24 8821 0009 0000 0003 6979 0001

Publikacja nie dotowana. Wydana ze środków własnych 1,5% odpisu
od podatku dochodowego na organizację pożytku publicznego.

Biblioteczka „Skauta”: tom 3

Redakcja: Lesław Dall
Projekt typograficzny,
redakcja techniczna: Marek Popiel
Projekt okładki i logo: Marek Karpiński

Druk: totem.com.pl sp. z o.o.
ul. Jacewska 89, Inowrocław
Nakład: 300 egzemplarzy

ISBN 978–83–919794–6–4



Stefan Żeromski przed willą Władysławka w Zakopanem,
jesień 1918 r. Zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie.

SPIS TREŚCI

ZŁE SPOJRZENIE	8
OD WYDAWCY	34
NOTATKA PRASOWA I DOKUMENT TOPR	46
WSPOMNIENIA O TADEUSZU KUHNIE	54
ANEKS	76

ZŁE SPOJRZENIE

Przeżycie wewnętrzne, które ma być tutaj uprzytomnione zdarzyło się w półtora roku mniej więcej po śmierci dziewiętnastoletniego młodzieńca, syna doktora Zenona Ł., prowincjonalnego lekarza w środkowej „Galicji”. Zmarły był jedynakiem. Zgaśł w ciągu krótkiego czasu na galopujące suchoty. Na nic się nie zdała wiedza ojca, jego znakomitych kolegów i przyjaciół, wszelkie ich wysiłki, zabiegi i środki zaradcze. Po śmierci syna doktor Ł. pozostał w tym samym miejscu i w tym samym domu. Po dawnemu leczył pacjentów i przykładał się wśród swego otoczenia do spełniania różnych obowiązków społecznych. Sąsiedzi wzdychali przelotnie, patrząc na niego, i mrużyli oczy z tak zwanym współczuciem, którego, po prawdzie, nikt nie czuł i czuć nie mógł. Potem i to ustało. Zapomnieli. Któż bowiem i jakim sposobem może mieć wiadomość o istocie niedoli cudzej, zwłaszcza wewnętrznej?

Ludzie nowi, przyjezdni, którym zdarzyło się zawiązać znajomość z najbardziej wziętym z lekarzy tej środkowo galicyjskiej Abdery, z „nadzwyczajnym diagnostą”, nie domyślali się wcale, że ów tęgi, spokojny,

przenikliwy, przyjemny i wykwintny człowiek – jak mówiono „gentelman w każdym calu” – miał niedawno tak ciężkie przejście. Sam doktor Zenon mocował się ze swoją klęską, jak na mądrego mężczyznę i świadomego lekarza przystało. Wiedział, że jego przebita dusza nie może na ziemi znaleźć przyjaciela. Można by powiedzieć, że pierwszy okres po śmierci syna zniósł lepiej niż okresy późniejsze. W miarę oddalenia od tamtych wyraźnych chwil coś psuło się coraz bardziej w zegarze wytrwania. Przede wszystkim – co do pracy lekarskiej. Tuż po katastrofie doktor Zenon za pomocą tej właśnie praktyki „ubijał” swą boleść, przydeptywał ją szybkimi, dalekimi marszami do chorych. Znieczulał się pracą jak chloroformem. Nie zostawiał sobie wolnego czasu na obcowanie oko w oko z nagim uczuciem. Mówiąc w najgłębszym już sekrecie, obrazami srogich ludzkich cierpień opijał się jakoby winem tęgim i uodporniał jak spirytusem. Patrzył dzień w dzień, a częstokroć w ciągu długich nocy, na udowodnienia i unaocznienia, że nie on jeden jest skazańcem. Przesiadywał u wezglowia chorych dzieci ponad wszelką normę i miarę, już nie jako lekarz, lecz jak pielęgniarz. Wydobywał z objęć śmierci głowiny płonące od ogniów gorączki i powracał uśmiechy na twarze udręczone. Gdy ojcowie i matki witali jego zjawienie się łzami radości,

a żegnali je błogosławieństwem, on sam szedł wśród tych objawów gnuśny w sobie, zaledwie postrzegając, czego w istocie dokonał. Ten szczególny nastrój uczynił zeń znakomitego lekarza. Nie żywych ludzi leczył ten pielęgniarz, filantrop i dobroczyńca, lecz mocował się z samymi chorobami. Ścigał je w kryjówkach i niedosiętych pieczarach bytowania, zupełnie jak gdyby polował na tajemnicze potwory, byty okrutne i straszliwe w swej strukturze sekretnej, wymykającej się spod objęcia przenikliwości ludzkiego rozumu.

Zagadkowe stwory przyrody – tyfus plamisty, szkarlatyna, ospa, nosaczna, gruźlica i tak nieskończony szereg innych – pociągały go teraz nie tak jak dawniej. W głuchoniemej pasji swej mścił się teraz na nich, wyrывał je z dziupli i skrytek, chwytal w pół drogi, umiał w lot poznać się na ich planach, wybiegach, narowach i zdradzieckich przyczajeniach, na ich podspodnim życiu, splecionym z krwią, kośćmi i mięśniami człowieka, a tak nieubłaganie wrogim tej krwi, kościom i mięśniom.

Tak to wytrwale i niemal bez chwili przerwy pracując z wyczerpaniem wszystkiego rozumu, pamięci, czujności, zdobytej i wciąż przez studia pomnażanej wiedzy, operując myślą ćwiczoną i nieomylnie dokładną – doktor Zenon, sam na sam zostając ze sobą, ocknąwszy się ze snu w nocy, idąc w dal i powracając do punktu wyjścia,

nie mógł znaleźć przedmiotu czy tematu, o którym by mógł myśleć. Jego własna, istotna, niejako wewnętrzna myśl ześlizgiwała się ze wszystkich rzeczy tego świata i ze wszelkich pojęć napełniających świat wewnętrzny. Zaprawdę – ten tak rozumny człowiek – nie mógł o niczym myśleć. Wszystkie myśli zlatywały w otchłań czasu i niosły się w przestrzeni. Miesiąc jest taki a taki, dzień taki a taki w miesiącu, upłynęło tyle a tyle miesięcy, tyle dni – oto były istotne, wewnętrzne myśli. Trzeba dziś lub nazajutrz iść w takim a takim kierunku, do takich oto ludzi, a raczej do nazwisk wypisanych w lekarskim karnecie – oto była wszystka wewnętrzna woła. I tak oto – jako współnicy drogi życia – stowarzyszył się z osierociałym jedynym towarzysz – pusty czas – i jedyna towarzysza – jałowa przestrzeń.

Wszystko zaś inne było obojętną i obcą miazgą przydarzeń.

Przeczytawszy w pewnej książce, iż Perykles ateński zniósł bez żałoby śmierć dwu swych świetnych synów, doktor Zenon doświadczył wzburzenia wewnętrznego, jak gdyby osobistej insultacji, a nawet zniewagi. – Cóżem ja jest za człowiek? z pogardą zapytywał samego siebie. Wnet jednak zjawiała się usługana refleksja:

– Ba! Gdzież jest pewność, że ów Perykles czuł śmierć swych synów, skoro ją zniósł bez żałoby? Może

dlatego zniósł śmierć synów bez żałoby, ponieważ wcale ich nie żałował. Może był człowiekiem-drewnem, twardym pniakiem bukowym, którego żadnym sposobem nie ima się zgniłość uczucia, gdyż jego cały skład wewnętrzny aż do rdzenia jest bukowy. Toż według świadectwa Shelleya, stary „ojciec” Cenci modlił się żarliwie, szczerze i z uniesieniem, ażeby Bóg poraził śmiercią dwu jego synów. Nie jest jednolity, jak u zwierząt, lecz jest wieloraki, złożony i zagadkowy gatunek ojca w rodzaju ludzkim.

O pewnej późnej nocy, gdy zbudzony ze snu szedł do chorego dziecka z nieszczęśliwym ojcem, który obok niego dreptał pogadując, wdzięcząc się, a po tysiąckroć przepraszając, akomodując się i zalecając, żeby „znakomitego diagnostę” dobrze usposobić, doktor Zenon poczuł w sobie ostre nadpęknięcie. Ziąb i dreszcz nie w ciele, lecz w głębi duszy. Śmiech gruby w głębi. Szli na dalekie przedmieście przez puste pola, śniegiem zasłane, przez pagór garbaty i przykry. Buty doktora przemokły, zmaczane w śniegu zakończenia spodni wilgotną masą chlapały dookoła zziębniętych kostek. Brnąc w ciemności z zagona na zagon doktor zagadnął współtowarzysza:

– Jak się też panu wydaje, czy czas naprawdę istnieje? Bo ja... Albo przestrzeń? Jak pan sądzi?

Stroskany ojciec, zajęty jedyną myślą, żeby jak najprędzej i jak najpomyślniej dostawić lekarza do łóżka swej chorej dzieciny, coś tam wymiamlał. Nie o odpowiedź chodziło...

– Mnie się wydaje – perorował doktor – że mają słuszość Indusi nauczając, a teraz w tej ciemności szczególnie wyraźnie to zobaczyłem, iż czas jest to w gruncie rzeczy tylko porządek następstwa w naszym poznawaniu rzeczy na świecie. A znowu sławiona przestrzeń – to nie co innego, tylko kierunek ustawienia przedmiotów tej ziemi. Jedno i drugie nie są to wcale jakoweś zewnętrzne trwania, lecz dwa sposoby ujęcia tego, co my, biedne kretyny, wiemy o otoczeniu.

Towarzysz drogi potakiwał z zapalem, wiarą i entuzjazmem:

– Skoro pan doktor przyszedł do takiego przekonania, a. w takim razie...

– Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – to przywykliśmy nazywać wyrazem czas, a potem powiedzieliśmy sobie, że on trwa jako byt samoistny. Jest to po prostu pusta idea, nazwa bez rzeczy. Tu, tam, w tym kierunku – to znowu przestrzeń. A wszakże to, co nazywamy czasem, w naszym odczuwaniu rozszerza się albo kurczy, staje się nieskończonością albo się

unicestwia, jeżeli je mierzyć miarą radości albo miarą bóleści. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość – a jedno w drugie wchodzi jak linia zwinięta w punkt geometryczny, staje się nicością jak mgnienie oka.

– Pan doktor doskonale to przedstawia...

– I wielki myśliciel niemiecki, po swojemu rozumując, powiada, iż sam w sobie, poza przedmiotami, czas jest niczym. Jest to, według niego, podmiotowy warunek naszego zmysłowego rzutu myśli. A przestrzeń? To, co nazywamy przestrzenią, jest jedynie formą wyobrażeń naszej zmysłowości, w których mieszczą się przedmioty zewnętrzne. Lecz ta forma przedmiotów, jako istota, poznać się nie daje i poznana być nie może. Czy człowiek ślepy ma wyobrażenie przestrzeni? Czy głusi, ślepi, daltoniści, neurastenicy, a także nieszczęśliwi, przyswajają sobie zjawiska w sposób przyrodzony każdemu przedmiotowi, w postrzeganiu powszechnym ludzi zdrowych i normalnie obojętnych?

Zeszli parowem ku przedmieściu i mijali chałupę, gdzie o tej tak późnej nocy rznęła siarczyście muzyka i rozlegały się wściekle tupania, śpiewy i wrzaski. Zdawało się mijającym, że te weselne wyrwasy wysiepią belki z węglów, a hołubce wyrzucą ciężki dach z wiązania.

– O, Boże mój! Ci ludzie teraz tańczą i tak się weselą...
– szepnął ojciec chorego dziecka mijając tę budę radości.

– Jakże jesteś szczęśliwy... – odpowiedział mu doktor w myśli. – Na progu dopiero stoisz, skoro cię takie przeciwieństwo dotyka i uraża. Nie wiesz ty, bracie, co znaczy za życia, chodząc po ziemi, leżeć w grobie, gdzie już wszystko jest tożsamością, gdzie już nie ma przeszerzeni i gdzie już czasu wcale nie ma.

W trakcie operacji, które prowincjonalnemu lekarzowi wypadało dokonywać w najtrudniejszych zazwyczaj warunkach, samemu, kędyś w domostwach odległych, bez narzędzi i środków pomocniczych – w ciężkich wypadkach, gdy trzeba było zwalczać chorobę, wyrastającą z brudu, nędzy, wszy i zaduchu – przy barłogach na poły zgniłych, wśród szmat zetlałych od lepkiego potu – w dobie najtrudniejszych rokowań i decyzji, skoro przyszło ważyć się na środki i przedsięwzięcia ostateczne, doktor Zenon odwoływał się do pomocy swego „asystenta”, niewidzialnego współpracownika, zgasłego syna. W owych ostatecznych chwilach – na wezwanie modlitewne, na westchnienie z samej głębi trzewiów i jestestwa, jakby na skutek rozpęknięcia się serca – zawsze przybywał niewidzialny. Samego nie było ani widać, ani słyszać, ani czuć, ani można dotknąć,

ani niczym zewnętrznym czy wewnętrznym objąć – a przecie objawiał się w czynnej pomocy, w tajemnicy współdziałania. Utwierdzał lub osłabiał powziętą myśl, mocno i nieodwołalnie rozstrzygał decyzję, niemal podsuwał i prawie kierował narzędzie. A wówczas nigdy nie chybiła ręka i nie wzięło złego skutku zarządzenie. Niewidzialne synowskie dłonie odganiały wszy, gdy wypadło w mroku ludzkiej jaskini, rozświetlonej płomyczkiem naftowej lampki, siadać na tapczanie nędzarza z tyfusem plamistym, a rozpalonego ciała i pościeli z gałganów dotykać rękoma, ubraniem i włosami. Niewidzialna synowska twarz zasłaniała od zarażonych plwocin, od jadu przyszców i krost, charknięć i kałów. Coś, jakoby święta rękawiczka, okrywało rękę, badającą zaraźliwe choroby.

Doktor Zenon bardzo rzadko odwoływał się do swego anioła. Ilekroć miał to uczynić w ostatecznej rozterce, wśród trwogi człowieczej przed wyratowaniem życia lub porzuceniem nędzarza w konaniu, serce w nim zdawało się umierać. Wiedział, że odrywa swego syna od jakichś prac innych, niedosiętych i niepojętych dla ziemskiego rozumu, że go przymusza do powrotu na ten padół, gdzie młodociane jego ciało tyle przecierpiało, a dusza przeżyła smutek tak straszliwy. Poczytywał te swoje modlitwy przywołujące za grzeszny egoizm,

za nadużycie świętości, prawdziwie za świętokradztwo. Lecz w ciągu owych przelotnych chwil, tak niewymownie krótkich jak złożenie i rozłożenie skrzydeł motyla, czuł w sobie dawne swe szczęście. Śniło mu się na jawie, że znowu są razem, że dokąds idą ramię w ramię i radzą o swych własnych zagadnieniach, o sprawach powszechnych lub domowych. Uczucie miłości stawało znowu w piersi pustej, jak wówczas jakiegoś w zimie dnia, gdy szli szeroką drogą podczas srogiej zamieci i zasłaniali się nawzajem od wichru i śniegu, bijącego w oczy, a ogrzewała ich ta sama, we dwu ciałach paląca miłość. Gdy było rozewrzeć oczy – pustka znowu była i cisza. Świadomość znowu była opleciona zwątpieniem. I głęboka, głęboka wewnątrz rana.

Z okna doktorskiego mieszkania, z okna tego „gabinetu”, gdzie przyjmował chorych w godzinach popołudniowych, widać było na rozległości widnokregu dwa łagodne wzgórza, zstępujące niepostrzeżenie zboczami w rozległą dolinę. Na jednej z tych pochyłości stała kępa wyniosłych drzew. Podczas „ordynacji”, między jedną poradą a drugą, doktor Zenon spędzał zazwyczaj nieco czasu przy oknie niby to zażywając chwili wytchnienia. Wpatrywał się wówczas w swój widok, tak mu znany. Nie była to martwa ziemia, lecz kształt

widomy wszystkich bez wyjątku przeżyć. Ów skrawek gruntu wszystko wiedział. Nasycony był spojrzeniami boleści od samego początku strasznej choroby, poprzez agonię i śmierć, aż do ostatnich, pustych chwil. Gdyby jakowaś niepojęta siła zdołała ścisnąć owe dwa wzgórza, rzeka łez popłynęłaby z nich w cichą dolinę. W tę to dolinę zniżało się o zachodzie słońce. Kępa drzew rzucała wówczas długi cień. Między dwie pochylnie pagórków zdawał się iść w ślad za słońcem ostatni wygon ziemski, żłobowina jedynej drogi z tego na tamten świat. I wciąż to samo, zawsze jednakie a nigdy nie rozstrzygnięte pytanie szło w tę drogę pod cieniem samotnych drzew, z tego na tamten świat:

– Gdzie jesteś? Kto cię teraz przyciska do serca? Czyli twój tam pobyt jest tylko snem tak nieskończonym, iż spłynął w małość nieskończoną, jak linia w punkt geometrów, leżący w sobie samym, bez miejsca bytu i wymiaru wzdłuż i wszerz? A przecie do mnie przychodzisz! Jakimże sposobem dowiadujesz się, że cię wołam? Skąd przychodzisz? Czyli twój tam pobyt jest służbą niewiadomą, niepojętą i na wieki tajemną? Komu służysz? Co przedsięwzięjesz? Jakie masz do wykonania prace? Czy liż mnie jednemu nie możesz powierzyć tej tajemnicy jakimś znakiem, snem, objawieniem? Ja sekretu nie zdradzę!

Będę go strzegł jak źrenicy oka! Umrę z nim! Przechystry skaucie, przeczysty duchem i ciałem, nie skalany brudem ziemi, czyli tam jesteś także skautem w zastępach Boga? Czy ci tam ziemi i tutejszych prac – żal? Czy ci tam lepiej niż tu?

Myśli bezsłowne na podobieństwo łez, wypływających samowolnie z oka, wypływały z człowieczej nędzy, zanosiły się w daleki ów widok na horyzoncie i spływały samochcąc w przedwieczne słowa psalmu: „Oświeć oczy moje”...

Tuż przed domem, po drugiej stronie drogi, rozciągała się uprawna łączka, prostokąt starannie przez właściciela ogrodzony – a nieco dalej, w głębi, stał dom parterowy, drewniany, z gankiem, typowy dworek na przedmieściu prowincjonalnego miasta. W dworku tym mieszkała rodzina nie znana doktorowi osobiście, gdyż nikt z tej rodziny nie zasięgał jego porady lekarskiej, lecz od dawien dawna znana mu z mimowolnego sąsiedzkiego podpatrzenia. Ojciec w tej rodzinie, jakiś ongi urzędnik, stracił był wzrok i jako zupełny inwalida pozostawał na opiece żony, kobiety niezmiernej pracy, zapobiegliwości i nieustającego poświęcenia. Trzecią w tej rodzinie osobą był syn, jedynak, wyrostek lat siedemnastu czy ośmnastu, uczeń gimnazjalny, prymus w szkole

i „pociecha tudzież cała nadzieja”. Czwartą istotą żyjącą w niskim domku za drogą był pies Dunaj, takś długi, niski, na typowo koślawych nogach, do którego nazwa wspaniałej rzeki pasowała jak pięść do nosa. Prymus Antoś i niski Dunaj żyli w stałej kompanii i nieustającym dotrzymywaniu sobie towarzystwa. Doktor Zenon Ł. nie spoglądając na zegar mógł oznaczyć godzinę, skoro zobaczył Dunaja wystającego na drodze, wężącego z przejściem powietrze, z niecierpliwym ziewaniem, przestępywaniem z nogi na nogę, a nie bez zawziętego drapania ziemi pazurami. Znaczyło to, że Antoś już w podskokach nadciąga na obiad, że tam już gdzieś w oddali, na kamieniach podmiejskiej drogi, zgrzytają jego buty grubo podkute gwoździami.

Rodzina niewidomego sąsiada nie mogła sobie pozwolić na luksus utrzymywania służącej. Całą pracę domową w kuchni i mieszkalnych pokoikach spełniała matka Antosia, przy czynnej i wydatnej jego pomocy. Ten duży, tęgi, muskularny, doskonale zbudowany i znakomicie wygimnastykowany młokos nosił wodę do kuchni, rąbał drwa, zamiatał pokoje, odgarniał w zimie śnieg, czyścił ubrania i buty, skrobał kartofle i biegał z koszem po sprawunki do sklepów. Nieraz przyszło mu przełknąć gorzką drwinę z ust młodych pokojówek i kucharek, wśród śmiechu za nim rzuconą, gdy gnał do

magła ze stosem bielizny albo pchał na wózek worek z kartoflami. Puszczął to jednak mimo uszu, jak zresztą wiele innych ludzkich opinii. Był to Antoś śpiewający. Wszystko robił śpiewając i podskakując. Można by powiedzieć, że ten młody człowiek pędził życie w przysiu, a wszelkie czynności życiowe traktował jako nieuniknione przerwy między jedną piosenką a drugą. Te rozmaite śpiewanki zdawały się nosić go po świecie, jak skrzydła noszą ptaka. Wszystko załatwiał z wiatrem w przegony. Gdy z wiadrami pełnymi wody ze studni sąsiada pędził poprzez łączkę, zdawać by się było mogło, że w kuchni jego rodziców wynikł groźny pożar i że on go właśnie dzielnie tłumi. Gdy szedł do szkoły, przestrzeń znikła mu spod podkutych obcasów i podszew nabitych gwoździami tak raptownie, iż szybkości jego kroków sam Dunaj żadną miarą nadążyć nie mógł. Nieraz doktor Zenon słyszał okrzyk matki Antosia, witający powracającego ze sprawunkami: – Już jesteś! Dopiero wyszedł, już jest z powrotem! Moje dziecko, nie łachaj tak, przecież buty...

Następowały wymowne apostrofy co do butów, strasznych cen zelówek, zestawienia cen dawnych i nowych i tym podobne litanie mizerii ludzkiej. Mało to wszakże skutkowało. Buty w istocie łachały się na mnożonych brukach podmiejskich w sposób złowieszczy.

Sprawność i sprężystość Antosia nade wszystko ujawniała się podczas zbiórek zastępu skautowskich „wilków”, do którego należała niemal cała jego klasa.

W jesieni, w zimie, wczesną wiosną, nim właściciel łąki obwieścił, że nie wolno deptać wiosennej murawy, na tej małej przestrzeni odbywały się harce, manewry, parady, rewie, defilady tudzież zwyczajne pozafrontowe skoki, tańce, łamanie, gonitwy i igrzyska tego grona młodzieży. Mogło się wówczas zdawać, że jesienna gruda albo miazga jałowa w przedwiośnie splachetka gruntu z łona swego wyrzuciła nagle zastęp szczególnych kwiatów. Kapelusze z dużymi rondami, zielone chustki na szyjach, wielobarwne wstążki u ramion, brązowe ubrania i jasne laski migały w oczach widza jak wielobarwna kwietna rabata. Oczy widza cofały się pod powieki, albowiem w tym zespole nie mógł dopatrzeć się swojego kwiatu. Niegdyś hasał tu jako najpiękniejsza latorośl. Nadmierne „czuwania” po nocach, zbyt gorliwe pochody ze zbyt wielkimi ciężarami na ramionach, spoczynki w polach na mokrej ziemi, czatowanie w wilgotnych rowach przyczyniły się w niemałej mierze... Toteż oczy doktora uciekały pod powieki od widoku skautów i ich manewrów. Lecz krzyk ich komendy, trąbki, śpiewy docierały wszędzie, gdziekolwiek się skrył przed ich bolesnym – niestety! – widokiem.

Na wiosnę już właściciel łączki nie pozwalał nikomu nogą stąpić na rozkwitający kobierzec kwiatów żywych. Uprawiał starannie swoją murawę tomasyną, bronował ją pilnie i polewał czasu suszy. Toteż rodziła mu trawy przebujne i kwiaty nieznane, nie widziane w tych stonach. Soczyste, wielkie kule koniczyny nasycaly wszystkie przestwór jasnej zieleni swoim radosnym kolorem, wyniosłe miodowniki przywabiały do koron swych tysiące pszczół, a smugi błękitnych i białych kwiatów nadawały temu zagajnikowi traw czarujące odcienie. Wówczas nikt już nie maścił stopą wonnej łączki. Szanowali ją wszyscy i tylko oczyma dopuszczali się wypasania bujnych kwietników sąsiada. Z wyjątkiem jednej jedynej niekulturalnej istoty – z wyjątkiem krótkonogiego i obwisłouchego Dunaja. Ten komunista brodził samowolnie wśród najpiękniejszych roślin, zadzierając łeb do góry, gdyż zupełnie ginał w gajach miodowników. Coś tam wywachiwał, żuł, podgryzał, próbował i wypluwał, ćwicząc się, widocznie, w znajomości psiej wiedzy lekarskiej czy aptekarskiej, na własny jedynie stosowanej użytek.

Jedna tylko istota nie czerpała ani jednego kształtu, nie piła oczyma ani jednej barwy z różnobarwnej łączki gospodarza, uboższa w tym względzie od psa Dunaja, uboższa niż wszystkie pszczoły, trzmiele, muchy i osy.

Był to ojciec Antosia. Na ciasnym ganku niskiego domu siedział godzinami, z twarzą zwróconą w stronę łąki, nieruchomy i niemy, jak gdyby właśnie pogrążony we wzrokową kontemplację cudnego kwiatów i traw ogroja. Któż wie? Może słyszał, jak barwy wysmukłych dzwonek powstają? Może rodzenie się i kształtowanie cudo-krzewów, których kielichy pisane są barwami niebios i zorzy porannej, rozpoznawał i uczuwał nozdrzami? Może niewiadomym zmysłem, który po ciemku w ciele swym wyszukał, urobił i wydoskonał, zdołał docierać z odległości do zapachów, w dzieciństwie swym, za szczęśliwych dni jasnowidzenia, na łonie duży wypiastranych?

Pod małą wystawą dachu zawsze obok ojca kręcił się Antoś w nieodstępnym towarzystwie Dunaja. Doktor Zenon nie słyszał z odległości rozmów ojca i syna. Dotatywały do niego tylko szczątki wyrazów i niewyraźne dźwięki. Antoś ojcu coś tam opisywał w trawach, wskazywał miejsce, ostrożnie i delikatnie stąpając, by ani jednej trawy nie zmaścić. Dotykał w gąszczach centurii, w smugach smółek jakowychś łodyg i liści.

Gdy mżył majowy, ciepły deszczyk, przepuszczony jakoby przez gęste na wyżynach sito, Antoś w krótkiej pelerynie i Dunaj z wysoko podkręconym ogonem brodzili miedzą w dalekich okolicach łąki. Skaut poprawiał

brzozowe witki kołków podtrzymujące prostackie żerdzie płotka. Przepuszczał zassane wody w pewnych rowkach odprowadzających wilgoć do głównego rowu. Komuś tam z plemienia kaczeńców czy niezapominajek dopomagał w trudach żywota przy czynnej asyście Dunaja, życzliwie usposobionego dla wszelkich poczynañ swego dużego przyjaciela.

W pogodne dni letnie ojciec Antosia wychodził do miasta. Miał wówczas na sobie kapelusz z szerokimi skrzydłami, archaicznego nieco kształtu, lecz świeży, jakby go wczoraj nabyto w modnym magazynie, palatot wyczyszczony, buty „wyglancowane” ze skautowską dokładnością i finezją, spodnie zaprasowane według ostatniego przepisu elegancji. Przechodzień, nieświadomy istoty rzeczy, mógłby był poczytywać wyprostowanego starszego pana za dandysa z przedmieścia, który o swą powierzchowność dba aż do przesady. Antos zawsze prowadził ojca pod ramię. Byli obadwaj już niemal jednego wzrostu. Szli zawsze krokiem miarowym, o czymś własnym z cicha rozmawiając – być może o tych kamieniach, których liczba niepoślednia leżała na drodze – ażeby snadź który z nich nie obraził nogi niewidomego.

Gdy tak pewnego dnia ci dwaj powracali z miasta do domu, doktor Zenon przypatrywał im się ze swego okna. Wzrok jego wszczepił się w tę parę i przez spojrzenie wysunęło się z serca straszliwe żądło zazdrości. Głowa, jakby głaz lity, odwalila się na futrynę okienną, a wargi szeptały do niewidomego starca:

– I cóż z tego, że jesteś ślepy? I cóż? Idziesz z nim, jakby ze swymi własnymi oczami. Widzisz przez niego. Twoje strupieszale serce ma w sobie zasadzone drugie serce żywe, młode, niewinne, twórcze i święte. Ręka potężna i tkliwa podtrzymuje każdy twój krok. Ramienia twego dotyka ramię cudze a zarazem własne, jakby wieczność potęgi. I cóż, że jesteś ślepy! Przestrzeń dla ciebie znikła i przeistoczyła się na czas, to prawda. Ale gdy idziesz ramię w ramię z dorastającym synem, przez to jego ramię wraca w ciebie na nowo przestrzeń. Jesteście dwiema istnościami w jednej. Jesteście cudem natury. Tak oto, ty ślepy, jesteś panem nad pany, królem nad króle. A ja? Ze mnie wydarte jest wszystko – przestrzeń i czas, światło i zmrok, sen i czuwanie. Jestem kamień, który noga wszechmocna kopnęła i odrzuciła z drogi, żebym wam nie zawadzał w przechadzkach pod słońcem. Cóżem jest? Nawet nie nicłość!

Gdy nadeszła pierwsza rocznica śmierci syna, doktor Zenon zamówił w parafii żałobne nabożeństwo. Ale

proboszcz był chory i terminu nabożeństwa nie można było na razie ustalić. Koledzy zmarłego chcieli uczestniczyć w tym nabożnym wspomnieniu, toteż zajmowali się szczegółowo kwestią daty. Pewnego dnia doktor Zenon posłyszawszy, iż ktoś stuka do drzwi wejściowych mieszkania, poszedł otworzyć. Zobaczył na progu Antosia, syna niewidomego sąsiada. W swym skautowskim ubraniu wyprostowany młodzieniec ów trzymał w ręku list od proboszcza. Uśmiech nieopisanej piękności, w którym zawarte było wszystko, stał na wargach gońca, kiedy ów list podawał. Gdyby ten uśmiech można było cudownym sposobem zdjąć z warg jego ludzkich i utrwalić w zewnętrzności, byłby to najwyraźniejszy dokument bytowania ducha wiecznego.

W liście było zaproszenie na nabożeństwo.

Wkrótce potem nadeszła pierwsza po zgonie rocznica urodzin zgasłego. I oto znowu starsi i młodszy koledzy, jakby odwdzięczając się za pierwsze nabożeństwo, które nie z ich inicjatywy zostało odprawione, zamówili „swoją” mszę żałobną.

Pewnego dnia ktoś znowu rano zastukał do drzwi doktora Zenona, a gdy on sam je otworzył, zastał na progu znowu Antosia, syna ślepego sąsiada. Jak za pierwszym razem, tak samo teraz skaut z tym samym

cudnym uśmiechem podał doktorowi list z zaproszeniem na nabożeństwo.

Mało-wiele upłynęło czasu od tych nic nie znaczących i nic nie mówiących wypadków – od brzmienia tonu organów i ponurego w nich śpiewu, w którym się słowo Boga straszliwego objawia.

Pewnego dnia, brnąc swymi codziennymi ścieżkami od chorego do chorego, doktor Zenon zaskoczony został w pół drogi przez młodzieńca w skautowskim przyodziewku, poszarpanym i poplamionym. Drżąc, szlochając, płacząc jedne rzeczy z drugimi, zdrożony i blady ów chłopiec zawiadamiał, iż wiezie na wozie, wynajętym w górach, zwłoki kolegi, który spadł ze szczytu w Tatrach podczas wycieczki paru skautów. Kolega zabitego nie miał odwagi zawiadomić rodziców. Pytał doktora, jak to zrobić? Tym bardziej, że ojciec ofiary jest ślepy...

Doktor Zenon zachwiał się na nogach. Pobiegł drogą wskazaną mu przez młokosa. Szli szosą co tchu parę wiorst w górę za miasto. Ukazał się wreszcie wóz drabiniasty zaprzężony w jedne szkapinę, która przez pół dnia i całą noc ciągnęła od gór w małopolskie niziny smutny ów ciężar. Doktor odrzucił płachtę okrywającą

skrwawione zwłoki. Zobaczył Antosia, a raczej potargane, zmiażdżone i roztrzepane jego zwłoki. Zdziwił go jedynie uśmiech niebiański, ocalały na resztce twarzy.

– Gończe mój, gończe!... – szeptał lekarz z załamanymi rękoma, z oczyma zasłanymi łzami. – Któż to ciebie dwukrotnie do mnie przysyłał? Kto cię przysyłał?

Ale święty uśmiech młodzieńczy, do tamtego należącego świata, na pytanie to nie dał odpowiedzi. Na wieki został sobą, zawarłszy tajemnicę.

W wysokich górach, które przed niezliczonymi setkami lat moc, niepojęta dla ludzkiego umysłu, z dała przyniosła i osadziła na glebach wyłonionych z morza – w górach, które stały kilkanaście tysiącleci w wichrach szalonych i w cichej niebios pogodzie – czekał tajemniczy sprawca na lekkomyślne ręce Antosia. Czatował przez nieprzejrany ów ocean czasu, aż junak samotny, gnany przez pasję i męstwo młodości, wedrze się na szczyt strzelisty i potężnymi rękoma chwyci za skrzyżzał najwyższego cypla. Tam właśnie czekał nieśmiertelny wróg. Z wieku na wiek podkruszał granit od spodu, zlewał go potopem deszczu i mroził szronami zimy, aż go skruszył i w podatną, ruchomą bryłę zamienił. Gdy jej się uchwyciły ręce Antosia, wraz z nim runęła z wysokości stu metrów. Zabiła go, lecąc poprzez powietrze, rozszarpała go, rozgniotła po stokroć i napoiła się jego

krwią, wylaną aż do kropli ostatniej ze wszystkich jego żył. Połamała mu raz, drugi, trzeci i dziesiąty sprężyste golenie i silne przedramiona, rozdarła gardziel, wyrwała z niej i przepłoszyła piękne, bujne piosenki, którymi chwalił rozkosz bytowania...

Doktor Zenon, jak wiadomo, mieszkał w tej samej części miasta, co rodzice zabitego Antosia. Niezależnie od prośby skauta, jemu to, jako lekarzowi, wypadało właściwie iść z zawiadomieniem o wypadku do domostwa tych ludzi. Ale doktor zatrwożył się w sobie. Nie miał siły być posłańcem do tych dwojga od ich Antosia. Tchórzowsko tedy, nie patrząc w stronę małego domu niewidomego sąsiada, wrócił do swego mieszkania i zajął się swymi sprawami. Tego dnia i następnych dni nie spoglądał w tamtą stronę. Nie patrzył nawet na zachód słońca, gdy zorza rozpościerała się z wolna między dwoma wzgórzami.

Ale na trzeci czy na czwarty dzień, przypadkowo wyjrzawszy oknem, zobaczył jednak ślepego człowieka i jego żonę. W tych samych ubraniach, tylko czarnymi paskami krepy przybranych, szli skądś do domu. Żona prowadziła pod ramię niewidomego. On szedł jak zawsze, wyprostowany, sztywny, uroczysty, zimny. Jej

twarży – na szczęście – nie było widać pod gęstym, czarnym z krepy woalem. Patrząc na nich doktor myślał:

– Dowiadujecie się, sieroty, prawdy o rzeczach zewnętrznych i rzeczach wewnętrznych, o Bogu i swojej własnej istocie. Tak, tak! Takie oto są kamienie naszej drogi...

Dwoje tych ludzi skrzyło z gościńca na ścieżkę prowadzącą do ich siedziby. Kobieta znikła w głębi domu, a niewidomy, jak przyszedł z miasta, tak usiadł na ławce ganku, w kapeluszu i paltocie, z laską w ręku. Patrzył niewidzącymi źrenicami na tę łączkę, skąd przed kilkoma jeszcze dniami słychać było śpiew jego chłopca albo zdrowy jego głos. Stary człowiek siedział tak długo w milczeniu i nieruchomości, jakby zastygł czy skamieniał. Nie wiedział, iż podpatrują go czyjeś oczy, że czyjeś spojrzenia mierzą i ważą jego uczucia.

Doktor, jak zazwyczaj, oparty o futrynę okna, nie mógł odejść z tego miejsca. Kilkakroć wyciągał rękę do nieruchomego starca, ale ta ręka opadała wzdłuż ciała. Kilkakroć czuł w piersiach podnoszący się krzyk, ale nie mógł go wydać. Czymże miał przerwać ciszę przepaści, w której przebywała tamta dusza? I coś z tego, gdyby u kolan mu wyznał:

– Najadłem się i napiłem się widokiem twoim w gło-dzie moim i straszliwą stała mi się ulga moja...

Miałże mu opowiedzieć historię swego złego spojrzenia?

Mały pies Dunaj wybiegł ścieżką z niemego domu na drogę i ze łbem zwróconym w stronę miasta, ku drodze kamienistej, wachał powietrze, przestępował niecierpliwie z nogi na nogę i drapał ziemię pazurami. Pobiegł do domu i znowu wrócił za chwilę, żeby czynić to samo. Tak z dziesięć razy... Wreszcie uczuł snadź zwierzęcą swą wiedzę tajemną istotę rzeczy. Wydało się, iż jego łeb chwycił paraliż, szyja mu się wyciągnęła w górę i pies z nagłą zawył przejmująco, żałośnie. Posłyszawszy ten głos, ślepy człowiek ruszył się, zatrzęsł, zakołysał, zatrzepotał. Ręce jego rzuciły się w przestrzeń, szarpać poczęły zarost i raz w raz płaskać w pustej próżni. Głos straszliwy, niepodobny do żadnego z głosów zwierzęcych ziemi, głos niepodobny do żadnego z krzyków ludzkich, wybiegł z jego piersi. Nikt wokół nie poruszył się od tego głosu, nikt nie przyszedł z pomocą lub pytaniem – ani żona, ani lekarz, ukrywający pod powiekami spojrzenie swoje. Tylko pies, przejęty tęsknotą, zawył do wtóru.

OD WYDAWCY

Skaut Tadzio Kuhn i *Złe spojrzenie* Stefana Żeromskiego

Na Nowym Cmentarzu w Zakopanem znajduje się grób szesnastoletniego skauta Tadeusza Kuhna, który 7 września 1919 roku zginął podczas wyprawy w Tatry. Mimowolnym świadkiem tragedii rodziny Kuhnów był Stefan Żeromski. Pograżony w głębokiej żałobie po śmierci swego syna Adama i pełen współczucia dla rodziców Tadeusza, napisał nowelę *Złe spojrzenie*, w której wcielił się w rolę narratora wydarzeń – doktora Zenona Ł.

Nowela ukazała się drukiem po raz pierwszy na łamach warszawskiego miesięcznika „Nowy Przegląd Literatury i Sztuki”, w czerwcowym numerze w 1920 roku, a następnie została przedrukowana w siedmiu odcinkach w „Kurjerze Lwowskim”.

Pomijając publikacje prasowe, nowela *Złe spojrzenie* nigdy dotąd nie została wydana jako osobne dzieło Stefana Żeromskiego w formie książkowej. Zawsze drukowana była z innymi opowiadaniem lub w dziełach zbiorowych. Tekst obecnego wydania *Złe spojrzenie* jest przedrukiem z ostatniego krytycznego wydania *Pism zebranych* Stefana Żeromskiego, pod redakcją Zbigniewa Gogolińskiego w opracowaniu Zdzisława Jerzego Adamczyka, wydanych przez Instytut Badań Literackich PAN (Tom 4, Warszawa, 1990, s. 138–153).

i
Złe spojrzenie.
Sarmat na interlinje

Przecież niewybrane, które ma być tutaj uprzytomnione,
 zdarzyło w półtora roku mniej więcej po śmierci dwudziesto-
 letniego młodego człowieka, syna doktora Leona L., prozowego
 nalego lekarza w szpitalu „Palięci”, zmarły był jestyna-
 kiew. Zgwałt w ciągu krótkiego czasu na galopującego tado-
 ty. Na me nie me edata wiedza oja jego anabonitęk to
 legów i przyjaciół, wszelkie ich wyzith, zabieg i iwocki
 zaradca. Po śmierci syna doktor L. pozostał w temsamem
 miejscu i w tym samym domu. Podawaniem leczył pacyn-
 tów i przysłał się wóide twego obecnia do opłania-
 nia różnych obowiązków spotanych. Szwedzi wdychali
 przedobnie, patrząc na niego i mnięli on z tak zwa-
 nem współczuciem, którego, po prawości, nikt nie ceni-
 i cenić nie mógł. Po tem i to usłate. Zapomnieli
 ktoś bowiem i jakim sposobem może mieć stiesnion-
 o intencie cudzej, zwłascz niewybranym, miedob?
 Ludzie nowi, przyszedli, którym zdarzyło się zawiśać
 znajomości i najbardziej wzięli z lekarzy tej swo-
 wogalicyjskiej szpitalu, z „nadzwyczajnym dyagnoską”,
 nie domyślali się wcale, że oś bęgi, sprakojny,
 pretekstowy, przyjemny i wglęwny estowisk, — jak
 mówiono, genitulan w kardym calu, — miał nieda-
 wno tak ciężkie przeżycie. Sam doktor Leon mo-
 cował się z swoją kłódką, jak na mądrego mę-
 żczyznę i świadomego lekarza przysłał. Wiedzieli,
 że jego przebita dusza nie może na ziemi znaleźć przy-

Rękopis noweli *Złe spojrzenie* Stefana Żeromskiego, strona pierwsza.
 Zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie.

W 2025 roku, ogłoszonym przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej Rokiem Stefana Żeromskiego, Stowarzyszenie Muzeum Harcerskiego im. Olgi i Andrzeja Małkowskich w Zakopanem podjęło się wydania noweli *Złe spojrzenie* jako osobnej książeczki wraz opisem okoliczności, które były inspiracją do jej napisania. Pisarz żyje w świadomości czytelników dopóki jego dzieła są wydawane i czytane. Literacki bohater noweli Antoś to skaut, którego pierwowzorem był Tadeusz Kuhn, w latach 1918–1919, sąsiad Żeromskiego.

Stefan Żeromski, mieszkając na stałe w Zakopanem w latach 1913–1919, miał możliwość obserwowania działalności zakopiańskich skautów, jego syn Adaś był wyróżniającym się skautem I Zakopiańskiej Drużyny Skautowej. Żeromski poznał osobiście Andrzeja Małkowskiego, którego niezwykle cenił i podziwiał, podobnie jak cały ruch skautowy: *P. Andrzej Małkowski, drużynowy zakopiańskiego skauta, stał się wkrótce dyspozytorem dusz i ciał swym młodych podwładnych. Wszystko, cokolwiek mówił, co zalecił, co wdrażał, uważane było za święte, nietykalne, najwyższe i nie podlegające dyskusji. Rozkazy jego były spełniane ze ślepym, iście żołnierskim posłuszeństwem i ścisłością. Skaut ten genialny wynalazek angielski ogarnął całą duszę Adasia*¹.

Adam Żeromski, śmiertelnie chory na gruźlicę, zmarł 30 lipca 1918 roku w Nałęczowie w wieku 19 lat.

Kilka dni po śmierci i pogrzebie syna w Nałęczowie, Stefan Żeromski powrócił do Zakopanego i zamieszkał w okazałej

¹ Stefan Żeromski, *O Adamie Żeromski wspomnienie*, Warszawa – Kraków 1926, s. 87.

willi Władysławka, znanej obecnie jako Czerwony Dwór, przy ulicy Kasprusie. Zbolały i pogrążony w rozpacz zamówił w zakopiańskim zakładzie fotograficznym Józefa Rysia zdjęcia syna w dużym formacie i opatrzone dedykacjami wyrażającymi podziękowania, wysłał je w listopadzie 1918 roku do kolegów i przyjaciół Adama. To w tej willi, wciąż przeżywając głęboką żalobę, w kwietniu i maju 1919 roku napisał wyjątkowy w swej twórczości utwór, upamiętniający syna, ludzi i miejsca, z którymi Adam Żeromski stykał się w czasie swego krótkiego życia.

Niewielka książka pod tytułem: *O Adamie Żeromskim wspomnienie przez jego ojca jako rękopis w 55 egzemplarzach podane do druku, dla grona osób, które łaską miłości, przyjaźni i opieki darzyły zgasłego* ukazała się drukiem w Warszawie pod koniec września 1919 roku. Żaden egzemplarz nie trafił do księgarń ani do redakcji pism. Za życia autora nie pojawiły się o tym utworze żadne dziennikarskie informacje ani krytycznoliterackie omówienia, nie był też odnotowywany w rubrykach nowości wydawniczych. Dzieło opatrzone przez autora dedykacjami dla obdarowanych otrzymali przyjaciele syna – nauczyciele, lekarze, opiekunowie, koledzy szkolni i skauci, jako wyraz wdzięczności i prośba o zachowanie w pamięci Adasia. W zbiorach publicznych zachowało się tylko kilka egzemplarzy tej książki.

W trakcie pisania wspomnień i długo później, niepokodzony ze śmiercią swojego syna Stefan Żeromski, często obserwował z okna mieszkania na pierwszym piętrze w willi Władysławka ulicę i znajdujący się naprzeciwko parterowy, drewniany dom z przeszkloną werandą. Pod numerem Kasprusie 54 (obecnie

*O ADAMIE ŻEROMSKIM
WSPOMNIENIE*

*PRZEZ JEGO OJCA,
JAKO RĘKOPIS W 55 EGZEMPLARZACH
PODANE DO DRUKU,
DLA GRONA OSÓB, KTÓRE ŁASKĄ
MIŁOŚCI, PRZYJAŹNI I OPIEKI
DARZYŁY ZGASŁEGO.*

*WARSZAWA, MCMXIX
NAKŁADEM AUTORA*

Strona tytułowa książki *O Adamie Żeromskim wspomnienie*,
Stefana Żeromskiego. Zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie.



Karta pocztowa, Willa Władysławka w Zakopanem przy ul. Kasprusie. Fot. Józef Ryś, 1903 r., zbiory Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Tu od początku sierpnia 1918 r. do końca września 1919 r. mieszkał na I piętrze Stefan Żeromski. Na początku lat dwudziestych XX w. nowi właściciele zmienili nazwę willi na Czerwony Dwór.

ul. Kasprusie 42) mieszkała rodzina Kuhnów: Adam Kuhn, ociemniały emerytowany urzędnik kolejowy, jego żona Maria, która zawodowo zajmowała się wykonywaniem haftu artystycznego i syn Tadeusz, uczeń gimnazjalny.

Obserwował powroty Tadzia Kuhna do domu, zabawy z psem oraz spacerzy z niewidomym ojcem, tak jak opisał to w noweli. Poznał Tadzia osobiście, gdy na początku września 1919 roku przyniósł Stefanowi Żeromskiemu do willi Władysławka zaproszenie na mszę żałobną za duszę śp. Adama, w rocznicę jego urodzin, zamówioną i zorganizowaną przez I Zakopiańską Drużynę Skautową im. Księcia Józefa Poniatowskiego.

Tragiczna śmierć Tadzia w Tatrach stała się bezpośrednią inspiracją dla Stefana Żeromskiego do napisania wspomnieniowej noweli *Złe spojrzenie*, które stanowi jakby dalszą część książki *O Adamie Żeromskim wspomnienie*. Wydarzenie odbiło się szerokim echem pod Tatrami. O jego śmierci i tragedii rodziny Kuhnów pisali później w swych wspomnieniach: Włodzimierz Wnuk, *Rwał się ku szczytom i padł ich ofiarą*, Konstanty Stecki (Senior), *Tadzio Kuhn w nowelce Żeromskiego*, Maciej Mischke, *Gimnazjum zakopiańskie* oraz Stanisław Makowiecki, *Zakopiańskie harcerstwo*. W dalszej części Posłowa przedrukowujemy zebrane dokumenty źródłowe oraz te wspomnienia, stanowiące istotne uzupełnienie biogramu Tadeusza Kuhna, o którym udało się zebrać jedynie podstawowe informacje biograficzne. Nie udało się niestety odnaleźć fotografii Tadeusza Kuhna i jego rodziców.



Willa Czerwony Dwór w Zakopanem przy ul. Kasprusie, ok. 1948 r.,
siedziba domu dziecka. W głębi, po przeciwnej stronie ulicy,
stoi drewniany dom, w którym w latach 1915–1919 mieszkała
rodzina Kuhnów. Zbiory Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.

Tadeusz Kuhn, skaut zakopiański

Tadeusz Kuhn urodził się 10 grudnia 1903 roku w Krakowie. Był synem Adama (1856–1923), ociemniałego emerytowanego urzędnika kolejowego i Marii (1874–1949), która utrzymywała rodzinę haftując artystycznie przedmioty codziennego użytku. Jej prace były prezentowane na wystawach Towarzystwa Sztuki Podhalańskiej w Zakopanem i Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Początkowo rodzina mieszkała w Krakowie, a następnie z powodu przeniesienia służbowego we Lwowie. Ze względów zdrowotnych przeprowadzili się na początku 1915 roku do Zakopanego, gdzie mieszkali w domu Marii Bachledy Gróbarz przy ul. Kasprusie 54 (obecnie Kasprusie 42), naprzeciw willi Władysława ul. Kasprusie 37 (obecnie Czerwony Dwór, ul. Kasprusie 27).

W latach 1915–1919 uczył się w Prywatnym Gimnazjum Realnym w Zakopanem (kl. I–VI) osiągając bardzo dobre wyniki w nauce. Czynnie działał w kółku przyrodniczym i w Sodalicji Mariańskiej. Od 10 listopada 1917 roku należał do I zastępu I Zakopiańskiej Drużyny Skautowej im. ks. Józefa Poniatowskiego. 8 czerwca 1918 roku zdał egzamin na I stopień skautowy.

W niedzielę 7 września 1919 roku wybrał się z kolegą na pierwszą wysokogórską wyprawę w Tatry. Wspinając się granią od Zawratowej Turni ku Mylnej Przełęczy oderwał się wraz z blokiem skalnym, luźno leżącym na grani, spadając około 120 metrów na piargi pod Zawratową Turnią ku dolinie

Zmarłego Stawu. Śmierć poniósł na miejscu. Następnego dnia jego zwłoki znieśli z miejsca wypadku ratownicy TOPR i w Kuźnicach przekazali rodzinie.

Pogrzeb został odprawiony 9 września przez katechetę gimnazjalnego ks. Józefa Winkowskiego na Nowym Cmentarzu w Zakopanem.

Pani Kuhnowa po śmierci syna ufundowała stypendium jego imienia dla ucznia – harcerza zakopiańskiego gimnazjum. Opiekowała się też drużyną harcerską, dostarczając pięknie wyhaftowane parzenice góralskie z lilijką harcerską. Były one noszone na lewym rękawie munduru, zarówno w męskiej jak i żeńskiej drużynie.

Ojciec Tadeusza zmarł 4 lata później i został pochowany obok syna. Grób Marii Kuhn znajduje się na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Źródła: Archiwum TOPR w Zakopanem: *Księga wypraw TOPR*, T. I, 1909–1937, sygn. TOPR/KWR/2/1, 34a i 35; Archiwum Muzeum Harcerskiego im. Olgi i Andrzeja Małkowskich w Zakopanem: *Ewidencja członków I Drużyny skautowej im. ks. Józefa Poniatowskiego w Zakopanem [1917–1918]*; (t) *Tragiczna śmierć studenta gimn. w Tatrach*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, Kraków, 9 września 1919, nr 247, s. 4; Jan Dürr, *Treny Żeromskiego*, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 9 stycznia 1926, nr 2, s. 28–29; Konstanty Stecki, senior, *Tadzio Kuhn w nowelce Żeromskiego*, [w:] *Wspomnienia zakopiańskie, (1910–1923)*, Kraków, 1973, s. 71–76; Włodzimierz Wnuk, *Rwał się ku szczytom i padł ich ofiarą*, [w:] „*Liliana*” i *Szarotka*”. *Zarys historii zakopiańskich licealnych szkół ogólnokształcących*, Zakopane, 1978, s. 66–70;

Maciej Mischke, *Gimnazjum zakopiańskie*, [w:] Witold Osiński (red.), *80 lat Zakopiańskiego gimnazjum. Szkice i wspomnienia z lat 1912–1992*, Zakopane, 1992, s. 172–173; Stanisław Mako-
wiecki, *Ze stepu w Tatry*, Kraków, 1979, s. 144; Maciej Pinkwart,
Janusz Zdebski, *Nowy Cmentarz w Zakopanem. Przewodnik
biograficzny*, Warszawa – Kraków, 1988, s. 76; Maciej Pinkwart,
Stefan Żeromski Prezydent Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, Nowy
Targ, 2018, s. 276–277; Ryszard Mazur, *Stefan Żeromski o harcer-
stwie*, Kielce, 1994, s. 18, 21; Informacje Zbigniewa Moździerza.

NOTATKA PRASOWA I DOKUMENT TOPR



„Ilustrowany Kurjer Codzienny”

Tragiczny wypadek pod Młyną Przełęczą w Tatrach 7 września 1919 roku.

Tragiczna śmierć studenta gimn. w Tatrach. (Telefonem od naszego korespondenta). Zakopane 9 września.

(t) Nigdy tyle ofiar nie pochłonęły jeszcze Tatry, jak w roku obecnym. Wypadki śmiertelne, złamania nóg i rąk, są prawie codziennym wydarzeniem. – Wczorajszy dzień przyniósł znowu tragiczny wypadek.

Tragiczna śmierć studenta gimn. w Tatrach.

(Telefonem od naszego korespondenta).

Zakopane, 9 września.

(t) Nigdy tyle ofiar nie pochłonęły jeszcze Tatry, jak w roku obecnym. Wypadki śmiertelne, złamania nóg i rąk, są prawie codziennymi wydarzeniami. — Wczorajszy dzień przyniósł znowu nowy tragiczny wypadek.

Uczeń VI klasy tuł. gimnazjum realnego. Tadeusz Kuhn wyprawiał się ze swym kolegą w Tatry na krótką wycieczkę. Pod wieczór powracał ów kolega sam, prawie obłąkany z przerażenia i rozpacz, podając, że towarzyszy jego nie żyje: Na Orlej Perci, dokąd się wyprawili poślizgnęła mu się noga i spadł z kilkudziesięciometrowego zbocza, rozbijając sobie głowę w strzepy.

Nieszczęśliwy turysta, był to młodzieniec o niezwyklej inteligencji i charakterze. Jeden z najlepszych uczniów zakładu odznaczał się nawet znacznym umysłem wyjątkowym. Ponieważ ojciec jego, inżynier od dziesięciu lat pozbawiony wzroku, niezdolny był do pracy, zmarły, wzór dobrego syna przyczyniał się lekcyami do utrzymania rodziny.

To też rozpacz nieszczęśliwych rodziców, którzy stracili swe jedyne dziecko i zwycięstwa jest wprost bezgraniczna.

Uczeń VI klasy tut. Gimnazjum realnego Tadeusz Kuhn, wyprawiał się ze swym kolegą w Tatry na krótką wycieczkę. Pod wieczór powracał ów kolega sam, prawie obłąkany z przerażenia i rozpacz, podając, że towarzysz jego nie żyje: Na Orlej Perci, dokąd się wybrali poślizgnęła mu się noga i spadł z kilkudziesięciometrowego zbocza rozbijając sobie głowę w strzępy.

Nieszczęśliwy turysta był to młodzieniec o niezwyklej inteligencji i charakterze. Jeden z najlepszych uczniów zakładu, odznaczał się nawet znacznym umysłem wynalazczym. Ponieważ ojciec jego, inżynier, od dziesięciu lat pozbawiony wzroku, niezdolny był do pracy, zmarły, wzór dobrego syna przyczyniał się lekcjami do utrzymania rodziców.

Toteż rozpacz nieszczęśliwych rodziców, którzy stracili jedyne dziecko i żywiciela jest wprost bezgraniczna².

² (t), *Tragiczny wypadek pod Mylną Przełęczą w Tatrach 7 września 1919 roku*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, Kraków, czwartek, 11 września 1919, nr 247, s. 4. Notatka została powtórzona w kilku innych dziennikach.

*Z Księgi wypraw ratunkowych 1909–1937
Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia
Ratunkowego*

Imię i nazwisko osoby zaginionej		Tadeusz Kuhn
Rubryki te mają być wypełnione po ukończeniu akcji ratunkowej.	Miejsce stałego zamieszkania	Zakopane
	Narodowość	Polak
	Wiek	16 lat
	Zawód	uczeń gimnazjalny
	Od ilu lat chodzi po Tatrach	od niedawna
	Imię, nazwisko i adres osoby wzywającej Straż Ratunkową	Przygodny turysta

Przedstawienie wypadku według słów osoby wzywającej Straż Ratunkową:

Dnia ... [8 IX] 1919 r. Przygodny turysta zawiadomił o godz. 1 w nocy będących w cukierni Przanowskiego pp. Konstantego Steckiego i Alfreda Terleckiego, ochotników T.O.P.R., że z Mylnej Przełęczy spadł o godz. 7 wieczór Tadeusz Kuhn.

Rok 1919. Przebieg akcji ratunkowej:

Z powodu nieobecności kierownika Pogotowia, p. J. Oppenheima, zwrócili się zawiadomieni ochotnicy T.O.P.R. K. Stecki i A. Terlecki do obecnego tam porucznika kompanii



Adam Żeromski, skaut I Zakopiańskiej Drużyny Skautowej
im. ks. Józefa Poniatowskiego. Zbiory Biblioteki Narodowej
w Warszawie.

wysokogórskiej p. Ritterschilda o pomoc i wraz z nim i ośmioma wezwanymi przez tegoż żołnierzami kompanii wysokogórskiej wyruszyli o godz. 2 m. 15 w nocy wzięwszy przybory Pogotowia na Halę Gąsienicową, gdzie byli o godz. 4. Tu od dzierżawcy schroniska, J. Bustryckiego dowiedzieli się o śmierci T. Kuhna i że już wieczorem w dzień wypadku J. Bustrycki przy pomocy kilku turystów znieśli ciało spod ściany Zawratowej Turni ku ścieżce na Zawrat. O godz. 7 rano przybyła ekspedycja do zwłok śp. T. Kuhna, które przeniesione zostały przez członków wyprawy na Halę Gąsienicową, a stąd do Kuźnic, gdzie na zwłoki czekała rodzina. Bambus Pogotowia w stosunku do długości ciała T. Kuhna okazał się za krótki, przeto członkowie ekspedycji przenosili zwłoki na dwóch alpejskich drążkach.

Wynik ostateczny: Tadeusz Kuhn, wspinając się granią od Zawratowej Turni ku Mylnej Przełęczy, opodal M. Przełęczy oderwał się wraz z blokiem luźno leżącym na grani, spadając około 120 metr. Na piargi popod Zawratową Turnią ku kotlinie Zmarzłego Stawu. Śmierć poniósł na miejscu, czaszka zmiażdżona, złamane ręce i nogi.

Naczelnik Straży Ratunkowej: wz./ J. Oppenheim³

³ Archiwum TOPR w Zakopanem: *Księga wypraw TOPR*, t. I, 1909–1937, sygn. TOPR/KWR/2/1, 34a i 35; *Księga wypraw ratunkowych 1909–1937. Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe*, oryginalne zapisy Mariusza Zaruskiego i Józefa Oppenheima, Łódź, 1994, s. 65–66.

Imię i nazwisko osoby zaginionej	Tadeusz Kuhn
Miejsce stałego zamieszkania	Zamojskie
Narodowość	Polska
Wiek	16 lat
Zawód	uczeń gimnazjalny
Od ilu lat chodzi po Tatrach	adw. domowe
Imię, nazwisko i adres osoby wzywającej Straż Ratunkową	Przygody Kurycha

Przedstawienie wypadku według słów osoby wzywającej Straż Ratunkową:

(Pisać drobnym pismem)

W dniu 10.08.1930 r. przygody Kurycha, uczeń
domu opadł. W nocy, bezkierunkowo w kierunku
Przemyśla, pp. Kucharskiego i Kurycha
i Alfreda Tarkowskiego, około 10.00 r. z. o. p. p.
ze: Myśli, Pracy i Spokoju opadł. Tadeusz
Tadeusz Kuhn.

28

Przebieg akcji ratunkowej:
(Pisać drobnym pismem)[illegible][illegible]

WSPOMNIENIA
O TADEUSZU KUHNIE

Włodzimierz Wnuk, *Rwał się ku szczytom i padł ich ofiarą*

Wśród utworów literackich Żeromskiego, tematycznie ściśle związanych z Zakopanem i Tatrami, jeden ma charakter zupełnie szczególny: jest bowiem wyraźnie autobiograficzny, jego podłożem stała się osobista tragedia pisarza sprzymierzona z cudzą tragedią...

Tytuł noweli, o której mowa: Złe spojrzenie. Bohaterem tego przejmującego utworu jest doktor Zenon Ł., „prowincjonalny lekarz w środkowej Galicji”, którego jedyny syn, dziewiętnastoletni młodzieniec, zmarł na suchoty. Doktor Zenon usiłował zdusić swoją rozpacz w ofiarnej, zapamiętałej walce z chorobami, w wrywaniu cudzych dzieci z objęć śmierci, ale im dłuższy czas dziełił go od utraty syna, tym większa stawała się jego boleść, tym bardziej pożerała go tęsknota za jedynakiem. Cierpienie doktora potęgował fakt, że naprzeciw jego domu mieszkała rodzina, której szczęściu mógł się codziennie przypatrywać: wprawdzie ojciec tej rodziny, ongiś urzędnik, był niewidomy i pozostawał na opiece żony, kobiety niezmiernej pracy i nieustannego poświęcenia, jednakże „pociechą, tudzież całą nadzieją był syn, prymus w szkole, chłopak ogromnie żywy, bystry, inteligentny, a przy tym o złotym, kochającym sercu. Następuje wzruszający opis współżycia rodziny, której motorem był niezastąpiony Antoś pomagający matce w gospodarstwie i opiekujący się troskliwie niewidomym ojcem, z którym chodził stale na spacer. [...]

Stefan Żeromski miał jedynego syna, Adasia. Znamy go dobrze ze wspomnienia, jakie mu ojciec poświęcił. Znamy go i z tych cudownych lat dziecinnych spędzonych w Nałęczowie, i z pełnych przygód młodzieńczych wypraw przy boku ojca za granicą – na Capri chodził na wycieczki w towarzystwie Maksyma Gorkiego, a w Londynie słuchał w parlamencie przemówienia Lloyd George’a – znamy Adasia jako szczęśliwego ucznia liceum paryskiego, a potem ucznia krakowskiego gimnazjum. W Krakowie (1912 r.) trzynastoletni Adaś, zapalony turysta, bierze udział w forsownych marszach, podbiegach, ćwiczeniach. Nabawił się podczas nich, niestety choroby płuc, która rzuciła swój cień na chłopięce życie. Dla poratowania zdrowia przenosi się do Zakopanego, gdzie z przerwami przebywa od 1913 do 1918 r. Chodzi tam do gimnazjum, a jednocześnie wyżywa się w sporcie, którego jest entuzjastą. [...]

Dziewiętnaście lat miał jedyny syn Żeromskiego, kiedy zgasło w nim życie. W kilkanaście miesięcy potem:

Żeromski mieszkał w tym czasie w Zakopanem, przy ul. Kasprusie. W najbliższych sąsiedztwie stał dom góralski zamieszkały przez państwa Kuhnów, urzędniczą rodzinę, która ze względów zdrowotnych musiała przenieść się ze Lwowa do Zakopanego. Pani Kuhnowa niedomagała na płuca, a jej mąż był niewidomy. Łatwo sobie wyobrazić, czym był dla rodziców ich jedynak, szesnastoletni podówczas Tadzio. Choć może i niełatwo. Bo chłopak ten odznaczał się wyjątkową dobrocią szlachetnością, a zarazem nieprzeciętnymi zdolnościami. W gimnazjum zakopiańskim należał do najlepszych uczniów i kolegów. Nie tylko Żeromski, ale wielu innych mieszkańców

ul. Kasprusie patrzyło codziennie na obraz, którego tragizm ginął pod barwami szczęścia: jak oto ślepiec, prowadzony pod ramię przez syna, uśmiechał się do świata. Jak promieniała mu skupiona twarz, kiedy Tadzio, przytulony do jego kolan, czytał na głos gazety i książki...

Nadszedł dzień 7 września 1919 r. Była to niedziela, długo przez Tadzia wyczekiwana. Bo tego dnia miał pójść po raz pierwszy na dalszą wycieczkę górską. Rodzice w trosce o jedynaka nie pozwalali mu chodzić w Tatry, ale udało się wreszcie jakoś matkę ubłagać. I choć ojciec był temu przeciwny, Tadzio poczynił już w przeddzień przygotowania do wyprawy. Tuż jednak przed wyruszeniem w góry wrócił z nabożeństwa szkolnego do domu i jeszcze raz zaczął prosić ojca o pozwolenie. Tym razem ojciec uległ... Radość chłopca nie miała granic, kiedy rankiem 7 września ruszył wraz z kolegami na wysokogórską wyprawę.

„Byłem świadkiem wielu nieszczęść i tragedii w swym życiu – mówił do nas, uczniów zakopiańskiego gimnazjum, prefekt ks. Józef Winkowski, kiedy zebraliśmy się pewnego listopadowego dnia u grobu Kuhna – ale ta była chyba najstraszliwsza. Słyszę jeszcze dziś gwałtowne, natarczywe pukanie w okno mego pokoju wczesnym rankiem 8 września, gdzieś koło 5 rano. Mnie pierwszemu przyniesiono ścinającą krew w żyłach wiadomość: Tadzio Kuhn zabił się.

Jako wychowawcy i katechecie Tadzia powierzono mi najboleśniejszą misję zawiadomienia rodziców o śmierci jedynaka. Poszedłem raniutko na Kasprusie, usiłując przygotować

powoli nieszczęsnych do okrutnej wieści. Ale matka, gdy tylko mnie zobaczyła, pojęła wszystko.

Spadł z Mylnej Przełęczy w stronę Zmarzłego Stawu. Pod wieczór, kiedy mieli wracać z całodzienniej wędrowki, odszedł Tadzio na moment od swego kolegi, by przystanąć nad brzegiem przepaści i napatrzyć się po raz ostatni cudnemu widokowi. Nagle urwał się kruchy, zwietrzały głaz, porywając za sobą chłopca. Runął w przepaść zabijając się na miejscu.

Dookoła tej tragedii Stefan Żeromski osnuł swoją nowelę *Złe spojrzenie*.

Na cmentarzu zakopiańskim, w obliczu Tatr, stoi pod krzakiem jarzębiny szaty granitowy głaz. Niełatwo go odnaleźć wśród wielu kamiennych nagrobków, kto jednak go odszuka, ten dojrzy na pionowej ścianie wyryte napis:

Śp. Tadeusz Kuhn
ur. 1903
rwał się ku szczytom
i
padł ich ofiarą
dn. 7.IX.1919⁴

⁴ Włodzimierz Wnuk, *Rwał się ku szczytom i padł ich ofiarą*, [w:] „*Liliana*” i „*Szarotka*”. *Zarys historii zakopiańskich licealnych szkół ogólnokształcących, Zakopane, 1978*, s. 66–70; Włodzimierz Wnuk, *Moje Podhale. Ku Tatrom*, Warszawa, 1973, s. 210–214.



Grób Tadeusza Kuhna na Nowym Cmentarzu w Zakopanem.
Fot. Marek Popiel, 2025 r.

Konstanty Stecki (senior), *Tadzio Kuhn* w nowelce Żeromskiego

Jednym z najbardziej smutnych i wzruszających przeżyć, jakich doświadczyłem mieszkając w Zakopanem, była śmierć mego ucznia, Tadzia Kuhna.

Uczyłem tego chłopca od małego. Nieomal więc od początków czytania i pisanja, a nawet wymowy, Tadzio bowiem lekko seplenił. Wyrósł w ciągu kilku lat szkolnych na wysokiego, szczupłego wyrostka, który jeszcze nie zdążył przedzierzgnąć się całkowicie w młodzieńca. Miał zbyt wybujały wzrost i sprawiał wrażenie, jak często chłopcy w wieku przejściowym, że jego nazbyt długie ręce zawadzają mu i że nie wie, co z nimi zrobić. Przechodził właśnie okres mutacji i mówił dyszkantem. Ucząc go od dziecka, specjalnie lubiłem tego chłopca. Odznaczał się wyjątkową pilnością i zdolnościami. Był ponad swój wiek poważny. Zapewne sprawiały to ciężkie warunki rodzinne: ojciec jego inżynier architekt, miał kataraktę na oczach i był zupełnie niewidomy. Utrzymywała całą rodzinę matka, haftując artystycznie drobne przedmioty codziennego użytku, jak serwetki, ręczniki, dywaniki, chusteczki itp. Tadzio, który był już w V klasie gimnazjum, pomagał matce, zarabiając korepetycjami, z czego był bardzo dumny i szczęśliwy. Niestety, zgubiła do miłość do Tatr i brak doświadczenia turystycznego.

Pamiętam, że 7 września 1919 roku w Zakopanem był koncert Chóru Akademickiego z Krakowa pod batutą Waldek-Walewskiego. Po koncercie śpiewacy jedli kolację w kawiarni Przanowskiego (dzisiejszy „Orbis”) i przy stolikach,

podochodziwszy nieco, śpiewali chóralnie piosenki. Korzystaliśmy i my ze znajomym z nadprogramowej zabawy i pozostaliśmy tam przy szklance kawy dłużej niż zwykle. Śpiewy przeciągnęły się gdzieś do północy. O tej porze podszedł do mnie syn właściciela kawiarni z zapytaniem, czy nie zajmę się sprawą jakiegoś wypadku w Tatrach, o którym powiadomiono ich przy bufecie. Prowadziłem bowiem przez pewien krótki czas sekretariat Pogotowia Ratunkowego, z czegoś się właśnie był wycofał, gdyż w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu większa część członków Straży Ratowniczej była w wojsku, ruch turystyczny prawie zamarł i Pogotowie niewiele miało do czynienia. Wiedząc zresztą z doświadczenia, że niezmiernie często podobne alarmy są fałszywe i zaledwo na kilka wezwań zdarzy się istotnie groźny wypadek, nie przejąłem się zbyt usłyszaną wiadomością i poradziłem skierować alarmującego do willi „Krywań”, gdzie były zorganizowane stałe dyżury Pogotowia.

Po chwili jednak odczułem pewne skrupuły, że zbyt łatwo skorzystałem z formalnego braku obowiązku bliższego zainteresowania się wypadkiem i podszedłem do bufetu celem poinformowania się o szczegółach. Tam zastałem jeszcze nieznajomego. Zapytany przeze mnie, o co chodzi, oświadczył, że spotkał na Hali Gąsienicowej młodego wystraszonego chłopca, biegnącego ku Zakopanemu, który go prosił, by wezwał Pogotowie, gdyż jakoby towarzysz owego chłopca miał spaść ze ścian Mylnej Przełęczy ku zmarzłemu Stawowi.

Zorientowałem się od razu, że wypadek może być groźny, zażądałem więc nazwiska chłopca, który uległ wypadkowi. Interlokutor mój odmówił podania nazwiska, tłumacząc się, że

obiecał zachować je w tajemnicy. Zaoponowałem, dowodząc, że wszak Pogotowie musi wiedzieć, kogo ma szukać.

– Chodzi oto – argumentował nieznajomy – że to chłopcy stale mieszkający w Zakopanem, więc nie chcą alarmować rodziny.

– W takim razie tym usilniej proszę o podanie nazwiska, gdyż i ja jestem stałym mieszkańcem Zakopanego i jeśli mam się tym wypadkiem zająć, chcę wiedzieć, o kogo chodzi – odrzekłem.

– Nieznajomy jeszcze się wahał:

– To są uczniowie tutejszego gimnazjum.

– Wobec tego pozwoli pan, że się przedstawię, jestem właśnie nauczycielem tutejszego gimnazjum i stanowczo proszę o nazwisko ucznia.

Dowiedziawszy się, że to chodzi o Tadzia, pożegnałem nieznajomego, zapewniwszy go, że zajmę się wypadkiem. Pobiegłem do towarzysza przy stoliku, był to również nauczyciel Tadzia, artysta malarz, p. Alfred Terlecki. Wspólnie zaalarmowaliśmy obecnego na sali oficera Kompanii Wysokogórskiej, który odkomenderował nam czterech żołnierzy, przysławszy ich z kwater. Zabraliśmy sprzęt ratowniczy i w godzinę po alarmie wyruszyliśmy na Halę Gąsienicową. Nad ranem byliśmy w schronisku u Bustryckiego. Stary Butrycki, wcześniej zawiadomiony, był już na miejscu wypadku nad Zmarzłym Stawem pod ścianami Mylnej Przełęczy i poinformował nas o tragicznym losie Tadzia. Już nie spiesząc się poszliśmy po zwłoki.

Tadzio z kolegą szli od Turni Świdnickiej, doszli do Mylnej Przełęczy i nie bardzo znając drogę, bez liny poczęli schodzić

ku Zmarzłemu Stawowi. Tadzio szedł pierwszy. W pewnej chwili chwycił za głaz, który razem z nim runął w przepaść. Spadł ze sto metrów, rozbijając się po drodze o skały. Siła uderzeń była potworna. Zabił się spadając, zanim jeszcze runął na piargi. Zapewne nie zdążył uświadomić sobie, że ginie, a uderzenia nastąpiły tak nagle, że już nie doszły do jego świadomości. Ani bólu, ani klęski swej już nie odczuł.

Zawinęliśmy go w płótno i na gałęzi kosodrzewiny ściągaliśmy do miejsca, gdzie można już było nieść go, przywiązawszy do drąga bambusowego. W takim żałobnym pochodzie zbliżaliśmy się po południu do Kuźnic. Wyszedł naprzeciw nas ktoś znajomy i uprzedził, że w Kuźnicach czekają już rodzice Tadzia, matka i niewidomy ojciec, zawiadomieni o nieszczęściu.

Wstrząśnięty do głębi okrucieństwem losu, nie miałem już odwagi być świadkiem tragicznego spotkania. Zwolniłem się w ostatniej chwili od obowiązku doniesienia zwłok do samych Kuźnic i bocznymi ścieżkami wróciłem do Zakopanego.

Cały ten tragiczny wypadek, istotnie wstrząsający w zestawieniu ślepoty i niedołęstwa ojca i dorastania do sił syna, który był jedyną nadzieją rodziców na lepszą przyszłość, znalazł swe odbicie w nowelce Żeromskiego zatytułowanej *Złe spojrzenie*.

Ponad rok przed wypadkiem Tadzia Żeromski stracił ukończonego syna Adasia. Poświecił mu napisane przez siebie wspomnienie, wydane w ograniczonej ilości egzemplarzy na prawach rękopisu. Rozdał je tylko najbliższemu znajomym i przyjacielom syna. Śmiercią Adasia Żeromskiego byliśmy w Zakopanem bardzo przejęci, gdyż Adaś uczył się w gimnazjum zakopiańskim w „Lilianie”. [...].

Żeromski niezmiernie cierpiał z powodu utraty syna, zbudował mu mauzoleum w Nałęczowie, a po wypadku Tadzia Kuhna napisał nowelkę następującej treści:

Ojciec, który stracił syna, widuje często przed swymi oknami na ulicy ślepego człowieka, którego prowadzi syn, młody chłopak, wiodąc go za rękę. I stary samotnik parzy na tych dwóch z zawiścią:

„I cóż z tego, że jesteś ślepy?... – myśli o niewidomym. – Idziesz z nim jakby ze swymi własnymi oczami. Widzisz przez niego... Ramienia twego dotyka ramię cudze, a zarazem własne, jakby wieczność potęgi... Jesteście cudem natury. Tak oto, ty ślepy, jesteś panem nad pany, królem nad króle. A ja? Ze mnie wydarte jest wszystko, przestrzeń i czas, światło i zmrok, sen i czuwanie”.

I patrząc tak złymi oczami na tych dwu, niejako swą zawiścią urzeka los, niejako prowokuje przyszłe wypadki.

Pewnego dnia spotyka na drodze skauta, wiozącego ciało kolegi. To właśnie syn ślepego ojca zginął spadając ze skał w górach. W ten sposób owo złe, zawistne spojrzenie jakby wywołało klęskę tego drugiego ojca, nieszczęśliwego kaleki.

Tym głębsze refleksje wywołuje nowela Żeromskiego, gdy zna się tło wypadków rzeczywistych, na których treść jej jest osnuta.

Nieszczęśliwy ojciec Tadzia zmarł w niespełna dwa lata po wypadku syna i pochowany jest obok niego na cmentarzu zakopiańskim⁵.

⁵ Konstanty Stecki (senior), *Wspomnienia zakopiańskie (1910–1923)*, Kraków, 1976, rozdział: *Tadzio Kuhn w nowelce Żeromskiego*, s. 71–72.

Maciej Mischke, *Gimnazjum zakopiańskie*

Tadzik Kuhn mieszkał przy ul. Kasprusie w parterowym domku naprzeciwko „Czerwonego Dworu”, w którym jest obecnie przedszkole im. K. Szymanowskiego. Ojciec Tadzika był niewidomy a prócz tego cierpiał na „manię prześladowczą”. Tak się mówiło, ale nie pamiętam żadnych objawów tej manii. Gospodarstwo prowadziła babka, a na utrzymanie rodziny zarabiała matka Tadzika. Pani Kuhnowa specjalizowała się w haftowaniu jedwabiem, nicią srebrną i złotą – na zgrzebnym płótnie góralskim. Często wykorzystywała motywy podhalańskie oraz wzory z pasów słuckich. Jej hafty były w latach dwudziestych sławne nawet w Ameryce. Były okresy, kiedy pani Kuhnowa zatrudniała po kilka dziewcząt góralskich, tworząc własną „szkołę”.

Tadzik był chłopcem bardzo zdolnym i miłym. Ode mnie był o pięć lat starszy a mimo to chętnie się ze mną bawił.

Tadzik zginął pod Mylną Przełęczą w Tatrach we wrześniu 1919 r. Był to dla mnie wstrząs. Pierwszy raz zetknąłem się wówczas ze śmiercią górską, która zabierała mi potem tylu towarzyszy i przyjaciół. Wspomnienie owej nocy żyje we mnie do dziś.

Wczesnym rankiem na drugi dzień po wypadku zbudziła nas w „Tatrach” pani Macielińska, nauczycielka muzyki, z wieścią o katastrofie. Chodziło o zawiadomienie państwa Kuhnów. Włodek Wnuk w swojej książce Ku Tatrom przytacza wspomnienie ks. Winkowskiego, że to on pierwszy nazajutrz po

wypadku odwiedził osieroconą matkę. W moich wspomnieniach utkwiło jednak, że to moja Matka spełniła ten smutny obowiązek. Pewnie nie wiedzieli nawzajem o swojej roli. Sprawa transportu ciała z Kuźnic spadła na mojego Brata [Kazimierza, matura 1918] i Tadzikowego ojca. Do dziś każdy pogrzeb kojarzy mi się ze stukotem kamienistej ziemi podhalańskiej o deski trumny.

Tragedii państwa Kuhnów poświęca wspomnienie Stefan Żeromski w noweli *Złe spojrzenie*, oskarżając się, że jego złe spojrzenie na Tadzika, po śmierci ukochanego syna pisarza – Adasia – stało się przyczyną katastrofy rodziny Kuhnów. (...)

Pani Kuhnowa – po śmierci Tadzika – ufundowała stypendium jego imienia dla ucznia zakopiańskiego Gimnazjum. Stypendium to otrzymał kolega Tadzika, Stefan Makowski, syn krakowskiego stolarza. Stefanowi, dziś prosperującemu przedsiębiorcy budowlanemu w Urugwaju, zawdzięczać to, że jestem inżynierem budownictwa. (...) Po Stefanie – stypendium Kuhnów otrzymał jego brat Michał, o rok starszy ode mnie⁶.

⁶ Maciej Mischke, *Gimnazjum zakopiańskie*, [w:] *80 lat Zakopiańskiego Gimnazjum. Szkice i wspomnienia z lat 1912–1992*, pod red. Witolda Osińskiego, Zakopane, 1992, s. 172–173; *Księga gór i budowli Macieja Mischke*, Kraków, 2009, rozdział: *Gimnazjum zakopiańskie: profesorowie i uczniowie*, s. 54–55.

Stanisław Makowiecki,
Zakopiańskie harcerstwo

Drużyna zakopiańska miała własną, ładną odznakę: pięknie wyhaftowaną parzenicę góralską, przyszytą na rękawie. Do-
starczała nam parzenic pani Kuhnowa, niepokieszona matka
po tragicznej stracie syna, który zginął w wypadku w górach.
Ponieważ syn jej też był harcerzem, znachodziła pewne pocie-
szenie w pomaganiu naszej drużynie⁷.



⁷ Stanisław Makowiecki, *Ze stepu w Tatry*, Kraków, 1979, rozdział: *Zakopiańskie harcerstwo*, s. 144.

Jan Dürr, *Treny Żeromskiego* [recenzja]

Ogłoszona w roku 1920, w pierwszym zeszycie „Nowego Przeglądu Literatury i Sztuki”, następnie włączona do zbioru pt. „Pomyłki” (Warszawa 1923) – nowela „Złe spojrzenie” stanowi pośród drobnych utworów Żeromskiego jeden z najmocniejszych i najbardziej znamienitych przejawów jego twórczości.

Przedstawienie genezy tego utworu odsłania nie tylko głębokie jego podkłady liryczne, ale w wielkiej mierze tłumaczy całą pracę artystyczną i praktykę poetycką Żeromskiego. W poznaniu genezy noweli zyskujemy przykład dowodny, jak pilnie podpatrywał Żeromski ludzi i życie, ażeby później ze spostrzeżeń swych układać dzieje i psychologię swoich bohaterów, jak nie umniejszając dziedzin poezji, przy pełnej swobodzie artystycznej i nastrojowej, zwykł był pojmować temat bardzo ściśle pod względem rzeczowym.

Tak jak dla Wyspiańskiego punktem wyjścia do napisania tragedii „Sędziowie” stała się notatka dziennikarska „Z sali sądowej” – podobnie bezpośrednim bodźcem do powzięcia pomysłu noweli „Złe spojrzenie” był rzeczywisty, głośny w swoim czasie, wypadek w Tatrach; wydarzenie o którym w kronice wypraw Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego, pod datą 1919 roku, znajdujemy wiadomość: „Tadeusz Kuhn z Zakopanego, uczeń gimnazjalny, Polak, lat 16, przechodząc granią z Zawratowej Turni ku Mylnej Przełęczy, spadł wskutek oberwania się głazu około 120 m. i poniósł śmierć na miejscu”.

Tragiczna i prosta wymowa tego zdarzenia wywiera tym boleśnieszce wrażenie, że zabity w górach był jednakim,

synem ślepcy, który przyprowadzony do martwych zwłok, wodząc palcami, rozpoznawał stężale rysy twarzy synowskiej.

Podziwiać należy mistrzostwo, z jakim dla celów artystycznych zostały w noweli wyzyskane szczegóły tego tragicznego wypadku, znanego dobrze Żeromskiemu, którego ówczesne mieszkanie w Zakopanem, przy ulicy Kasprusie, znajdowało się w bliskim sąsiedztwie domu zmarłego, w takim niemal położeniu, jak przedstawione w utworze dwa domy: willa lekarza, bohatera noweli i domek zamieszkały przez rodzinę Antosia. Opis przyczyny katastrofy, szczególnie niektóre, jak o ubóstwie rodziny zmarłego, – do nich można by dodać, że na utrzymanie jej zarabiała matka ze sprzedaży swych haftów, – są odtworzone przez Żeromskiego w sposób, dokładnie odpowiadający rzeczywistości.

Genezy psychologicznej utworu szukać należy w nastroju, w jakim znajdował się podówczas Żeromski. Historia nieszcześliwego wypadku w górach posłużyła mu do dania wyrazu swoim bezpośrednio doznany przeżyciom wewnętrznym, własnemu cierpieniu po utracie młodo na gruźlicę płuc zmarłego jedynaka, Adama, do wypowiedzenia swej gniotącej rozpacz, która próbował koić w innym jeszcze o życiu syna taktującym pamiątnikarskim utworze pt. O Adamie Żeromskim wspomnienia, drukowanym w niewielkiej liczbie egzemplarzy i niedostępnym w obiegu księgarskim, ażeby się nie skalały handlem uczucia boleści ojcowskiej.

Bohatera noweli, doktora Zenona, najbardziej wziętego lekarza „środkowo-galicyjskiej Abdery” – tak zostało nazwane Zakopane, obdarzył Żeromski własną liryką. Ukrył się zaś pod tą, obdarzoną materialistycznym poglądem i ustosunkowaniem się do świata, postacią, nie nową w jego twórczości, a przypominającą typowych inżynierów i lekarzy z epoki

pozytywizmu, dla tym drastyczniejszego przedstawienia obrazu „mocowania się ze swoją klęską, jak na mężczyznę i świadomego lekarza przystało. Wyrachowany rozum nie święci jednak w tym utworze triumfu”.

W opisie poszczególnych – na sobie samym obserwowanych – stanów psychicznych zmagania się z rozpaczą po śmierci syna zstąpił Żeromski w najgłębsze podświadome mroki i tajnie duszy ludzkiej, poddając je przenikliwej analizie. Przetopienie artystyczne własnych uczuć bolesnych w przejrzyste formy poetyckie, kosztowało go zapewne wiele... – Silną musiała być ręka, która pragnąc wyrzeźbić pomnik nagrobny, ani na cal nie zboczyła, pracując dłutem, kiedy serce dotknięte klęską, mocno bijąc, osłabiło trafność roboty.

Ustępy te, będące przedstawieniem poszukiwania istoty zjawisk, ich ukrytej treści, głębokiego utajnionego sensu działań, myśli i czynów, a zakończone zetknięciem się z przyrodą najwyższym akordem błagania o przeniknięcie tajemnicy śmierci i życia, ujęcie ich wzajemnego związku, stają się wreszcie spowiedzią, na dnie własnej duszy doszukująca się podłości i rozszarpującą bezlitośnie własne rany, aby nie zabiłszy się w spodleniu. Zrozpaczony po śmierci syna doktor Zenon kieruje zawistnie, niesamowite spojrzenie na jedynego syna swych sąsiadów, najlepszego opiekuna ociemniałego ojca i pomocnika ciężko pracującej matki. – Odsłania się cała przerażająca, okrutna nagość życia, przeciwko której – szukając jej – podejmował Żeromski walkę.

Rychło zazdrosne owo spojrzenie, które przemierzyło już wszystkie obszary cierpień, owiewając nas grozą jakiejś prastarej, a prostaczej wiary, otwierające głęboką dawność wierzeń ludowych

w uroki i odczyniania, sprowadza w skutkach... śmierć w górach młodzieńca, szerzącego wokół siebie radość i urodę życia.

Zamyka utwór nie dająca się wysłowić w streszczeniu scena: na dnie rozkoszy, płynącej z nasycenia żądzы zazdrości nieszczęściem, sprowadzonym niejako siłą złego spojrzenia – ostatecznie znajduje doktor Zenon jego straszliwą gorycz.

Mistrzowski styl utworu, każde poruszenie duszy zamykający w potężne, przedziwne w tonacji wewnętrznej słowa, – ton przeskakujący od rozpaczы i od brutalnej rzeczywistości, od realizmu psychologicznego w ujęciu tajemniczych prawd życiowych, do niezgłębionej mistyki, – zawiera całą moc geniuszu Żeromskiego.

Ta nowela jest prawdziwą; odsłania jej pierwiastkami: tragizmem obrotu rzeczy naturalnych i nadprzyrodzonych. Do najostrzejszego napięcia strun tragizmu doprowadza przedstawienie dramatu wczesnej śmierci; w oddaniu zaś nieodpartej rozpaczы ojca, osamotnionego po utracie syna młodzieńca, napięcie uczucia i demoniczne siła wyrazu – jak już zrobiono porównanie – dosięga i przechodzi granice, za których przekroczenie w dawnej Grecji domagano się kary dla autora tragedii.

Obok „Trenów” Kochanowskiego, „Ojca zadżumionych” Słowackiego – należy stawić Stefana Żeromskiego nowelę – epicedium „Złe spojrzenie”⁸.

⁸ „Kuryer Literacko-Naukowy”, Kraków, 16 kwietnia 1934, nr 16, s. II–III. Dodatek do „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” z dnia 16 kwietnia 1934 roku, nr 104; „Myśl Narodowa. Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej”, Warszawa, 9 stycznia 1926, nr 2, s. 28–29; Nieco zmienione przedruki pod tym samym tytułem ukazały się [w:] „Dziś i Jutro. Pismo dla młodzieży żeńskiej”, Kraków, 15 września 1931, nr 1, s. 8–9 i 4 grudzień, nr 1931, s. 62–64.

Dotychczasowe wydania noweli *Złe spojrzenie*

Wydania w czasopismach:

- Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, „Nowy Przegląd Literatury i Sztuki”, Warszawa, czerwiec 1920, nr 1, s. 25–42.
- Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, „Kurier Lwowski”, Lwów, 3 lipca 1920, cz. 1, nr 162, s. 2; 5 lipca 1920, cz. 2, nr 164, s. 2; 9 lipca 1920, cz. 3, nr 167, s. 2; 12 lipca 1920, cz. 4, nr 170, s. 2; 19 lipca 1920, cz. 5, nr 176, s. 2; 22 lipca 1920, cz. 6, nr 1178, s. 2; cz. 7, 26 lipca 1920, nr 182, s. 2.
- Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, „Życie Polskie”, Paryż, 23 sierpnia 1923, nr 17, 2; 26 sierpnia 1923, nr 18, s. 2; 28 sierpnia 1923, nr 19, s. 2; 30 sierpnia 1923, nr 20 s. 2; 2 1923, nr 21 s. 2.
- Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, „Skaut. Harcerskie Piśmo Historyczne”, Tarnów, 26 marca 2015, nr 1 [36], s. 13–17.

Wydania zwarte:

- Stefan Żeromski, *Pomyłki*, Wydawnictwo J. Mortkowicza, nakład Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, Wydanie pierwsze, Warszawa – Kraków, 1923, s. 25–48. Tom *Pomyłki*, zawierał trzy nowele: *Pomyłki*, *Złe spojrzenie*, *Pavoncello*.
- Stefan Żeromski, *Pomyłki*, Wydawnictwo J. Mortkowicza, nakład Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, [Wyd. 2], Warszawa – Kraków, 1925, s. 19–41.

STEFAN ŻEROMSKI

POMYŁKI

WARSZAWA MCMXXIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

Okładka pierwszego wydania noweli *Złe spojrzenie* w zbiorze *Pomyłki*.
Zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie.

- Stefan Żeromski, *Pomyłki, Dzieła*. Seria 2, Opowiadania i nowele wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia Państwa Polskiego, t. 4, Wydawnictwo Jakuba Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa – Kraków, 1929.
- Stefan Żeromski, *Sen o szpadzie. Pomyłki*, Wstęp Henryk Markiewicz, Redakcja Stanisław Pigoń, *Dzieła. Nowele i opowiadania*, tom 4, Czytelnik, Warszawa, 1957.
- Stefan Żeromski, *Sen o szpadzie. Pomyłki*, Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa, 1966.
- Stefan Żeromski, *Sen o szpadzie. Pomyłki*, Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa, 1972.
- Stefan Żeromski, *Sen o szpadzie. Pomyłki, Dzieła. Nowele. Powieści. Dramaty*. 4, Nowe wydanie „Dzieł” Stefana Żeromskiego w pięćdziesiątą rocznicę śmierci pisarza, Opracowanie tekstu Stanisław Pigoń, Czytelnik, Warszawa, 1973.
- Stefan Żeromski, *Sen o szpadzie. Pomyłki i inne utwory epickie*, Opracował Zdzisław Jerzy Adamczyk, Pisma zebrane, Tom 4, Czytelnik, Warszawa, 1990, s. 138–153.
- Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, [w:] Maciej Pinkwart, *Stefan Żeromski Prezydent Rzeczypospolitej Zakopiańskiej*, Wydawnictwo Wagent, Nowy Targ, 2018, Aneks, s. 374–384 (wg pierwodruku z 1920).
- E-book: Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, Avia Artis, Warszawa, 2022.



Tablica upamiętniająca Stefana Żeromskiego, umieszczona
na willi Czerwony Dwór. Fot. Marek Popiel, 2025 r.

ANEKS

**UCHWAŁA SEJMU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
z dnia 24 lipca 2024 r.**

w sprawie ustanowienia roku 2025
Rokiem Stefana Żeromskiego

W 2025 roku przypada 100. rocznica śmierci Stefana Żeromskiego – jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy, duchowego autorytetu polskiej inteligencji, autora opowiadań, powieści, dramatów i reportaży, które ukształtowały narodowe myślenie wielu pokoleń Polaków.

Stefan Żeromski był twórcą przekonany o doniosłej funkcji literatury, wierzył bowiem w szczególne posłannictwo pisarza i w jego odpowiedzialność za kształtowanie losu narodu i Ojczyzny.

Bogatej twórczości literackiej Żeromskiego towarzyszyła równie intensywna wieloletnia działalność niepodległościowa i patriotyczna oraz praca społeczna. Od 1914 roku służył w Legionach. Uczestniczył w akcji plebiscytowej na Warmii i Mazurach, był projektodawcą Akademii Literatury Polskiej, prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich i polskiego oddziału PEN Clubu, a w 1918 roku stanął na czele Rzeczypospolitej Zakopiańskiej.

Obie aktywności, pisarską i społeczną, podporządkował dewizie zapisanej w młodzięcym dzienniku: „Więc moja ludzkość to Polacy, mój wszechświat – to moja ziemia, a mój

Bóg – to ojczyzna z tym wszystkim, co się w tym wyrazie zamyka...”.

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, przekonany o ogromnym znaczeniu dorobku pisarza, oddając mu hołd, ustanawia rok 2025 Rokiem Stefana Żeromskiego.

MARSZAŁEK SEJMU

/-/ Szymon Hołownia



Willa „Czerwony Dwór”

ul. Kasprusie 27, 34-500 Zakopane

www.muzeum.harcerskie.pl

e-mail: muzeum@harcerskie.pl

czynne w soboty w godz. 10–16



HARCERSKIE
PISMO HISTORYCZNE
2005-2025

TARNÓW, 5 KWIETNIA



Biblioteczka „Skauta”:

Tom 1 – Marian Miszczuk, *„Węzelek” Pismo Głównej Kwatery Harcerek w Londynie 1961–2017*, Warszawa, 2021.

Tom 2 – Marek Popiel, *Skauting w prasie polskiej z lat 1909–1911 (teksty źródłowe)*, Zakopane, 2025.

Tom 3 – Stefan Żeromski, *Złe spojrzenie*, Zakopane, 2025.

Nagrobek Tadeusza Kuhna na Nowym Cmentarzu w Zakopanem, fot. Lesław Dall 2014 r.



**BIBLIO
TECZKA
SKAUTA**

Nowela ukazała się drukiem po raz pierwszy na łamach warszawskiego miesięcznika „Nowy Przegląd Literatury i Sztuki”, w czerwcowym numerze w 1920 roku, a następnie została przedrukowana w siedmiu odcinkach w „Kurjerze Lwowskim”.

Pomijając publikacje prasowe, nowela *Złe spojrzenie* nigdy dotąd nie została wydana jako osobne dzieło Stefana Żeromskiego w formie książkowej. Zawsze drukowana była z innymi opowiadaniem lub w dziełach zbiorowych. Tekst obecnego wydania *Złe spojrzenie* jest przedrukiem z ostatniego krytycznego wydania *Pism zebranych* Stefana Żeromskiego, pod redakcją Zbigniewa Gogolińskiego w opracowaniu Zdzisława Jerzego Adamczyka, wydanych przez Instytut Badań Literackich PAN (Tom 4, Warszawa, 1990, s. 138–153).

W 2025 roku, ogłoszonym przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej Rokiem Stefana Żeromskiego, Stowarzyszenie Muzeum Harcerskiego im. Olgi i Andrzeja Małkowskich w Zakopanem podjęło się wydania noweli *Złe spojrzenie* jako osobnej książeczki wraz opisem okoliczności, które były inspiracją do jej napisania. Pisarz żyje w świadomości czytelników dopóki jego dzieła są wydawane i czytane. Literacki bohater noweli, Antoś to skaut, którego pierwowzorem był Tadeusz Kuhn, w latach 1918–1919, sąsiad Żeromskiego.

